

BOLESŁAW KOWALEWSKI

Sierż. rez. Bolesław Kowalewski, rocznik 1899, rolnik.

Zostałem aresztowany 31 lipca 1940 r. we własnym mieszkaniu w Starych Kołyszkach, gm. i pow. Lida, jako osadnik wojskowy. Do aresztowania mego przyczynili się: chorąży Ryngilewicz i sierżant zawodowy w stanie spoczynku Dyrak, obydwaj z 77. pp. z Lidy, (byli na usługach NKWD).

Po aresztowaniu zostałem wywieziony do więzienia lidzkiego, w którym przebywałem przez siedem miesięcy. NKWD zarzuciło mi robotę kontrrewolucyjną oraz prowokatorstwo. Przy pierwszym śledztwie zostałem tak dotkliwie pobity, że straciłem przytomność. Gdy ocknąłem się, zobaczyłem że głowa moja [jest] cała spuchnięta, że nie mogłem otworzyć ust. Byłem sam w pojedynczej celi, tak brudnej i zanieczyszczonej, że miałem myśli, iż jestem w klozecie.

Siedziałem przez trzy dni bez jedzenia i picia. W czwartym dniu wezwano mnie znowu na śledztwo, gdzie znów zostałem pobity tępą szablą po szyi i nogach. Po takich trzech badaniach przywieziono mnie do tej samej celi, do której byłem wtrącony pierwszy raz. Siedziałem [tam] przez trzy tygodnie. Z głodu i męki myślałem [o] popełnieniu samobójstwa przez powieszenie się, użyłem do tego celu koszuli i wykonałem [zamiar]. Po jakimś czasie obudziłem się na korytarzu, przy mnie stał żołnierz sowiecki z karabinem. Po tym zajściu odprowadzony zostałem do ogólnej celi, gdzie było nas pięciu.

Przez cztery miesiące codziennie, a nieraz i w nocy, były przeprowadzane śledztwa. Po takich torturach zmuszony byłem przyznać się do tego, co mi zarzucali, i podpisać. Powiedzieli mi, że śledztwo przeciw mnie zostało zakończone i siedziałem w tej samej celi przez trzy miesiące. Przed wyrokiem zostałem dotkliwie pobity. Stałem przed fikcyjnym sądem, gdzie miałem obrońcę Polaka, który mnie bronił i prosił, bym się przyznał, to mogę dostać najwyżej rok lub półtora. Odpowiedź moja była stanowcza: to, co zeznałem, więcej nic nie wiem.

[Skazali] mnie na karę śmierci przez rozstrzelanie i samochodem wywieźli do lasu, kazali wyjść z samochodu w kierunku lasu i czterech żołnierzy maszerowało za mną z naganami.

Zatrzymali mnie przed lasem i zadali kilka pytań: „Czy przyznasz się, gdzie ukryte są trzy karabiny maszynowe?”. Powiedziałem, że nie wiem. Zaczęli mnie straszyć, że zostanę zabity, odpowiedziałem: „Możecie strzelać, łatwiejsza śmierć od kuli jak wasze tortury”. Kazali mi maszerować, lecz z tyłu było słychać wezwanie: zatrzymać. Po krótkiej rozmowie między sobą zawrócili mnie do tego samego samochodu i odwieźli do więzienia.

Trzy miesiące po śledztwie, odczytali mi wyrok: osiem lat przymusowej pracy w łagrach. W marcu 1941 r. zostałem wywieziony do Peczorłagu, do miejscowości Kożwa nad rzeką Peczorą. Naszą pracą było odkopywanie śniegu i stawianie namiotów. Warunki obozowe były bardzo trudne, wyżywienie otrzymywaliśmy dwa razy dziennie: rano i wieczorem po litrze rzadkiej zupy owsianki i 800 g chleba. W namiotach było zimno, pościeli żadnej nie było, tak jak człowiek pracował, tak – nie rozbierając się – spał. Praca trwała od 12-14 godzin dziennie. Przez dwa i pół miesiąca, będąc w jednej zmianie bielizny i bez łaźni, w brudach, zawszony, cierpiełem aż do czasu przyjazdu do Workuty II rejon, gdzie po raz pierwszy byłem w łaźni.

Warunki tam były możliwe pod każdym względem, lecz tylko dla tych, co wypełniali normy pracy. W Workucie, gdzie przebywałem, byli przeważnie Polacy, przeważnie zasądzeni za szpiegostwo i kontrrewolucjoniści; 50 procent było inteligencji, tzw. oficerowie, urzędnicy cywilni i policja, reszta rolnicy i osadnicy wojskowi. Inteligencja pod koniec zupełnie załamała się duchowo i moralnie, niższa klasa trzymała się bardzo dobrze i wspólnie podtrzymywali jeden drugiego. Warunki pracy w Workucie były dość możliwe, kto potrafił wypełniać normy, zarabiał od 10-12 rubli miesięcznie. Propaganda była: tylko praca dla kraju i krytyka tych, co nie mogą wypełniać norm dziennych.

Pomoc lekarska była dość dobra, lecz co do zwolnienia od robót, to było trudno. Uznawali za chorego i zwalniali [tego], który miał temperaturę 38,5 stopnia lub więcej. Lekarze przeważnie Polacy, lecz pod kontrolą lekarzy sowieckich. Bardzo dużo było wypadków odmrożenia nóg oraz wypadków śmiertelnych w szachtach. Rosjanie, aby zwolnić się od pracy, gdy nie mogli wykonać normy i [byli] wycieńczeni, bardzo często odrąbywali sobie siekierą palec lub używali innych środków, by dostać się do szpitala.

Podczas pobytu w łagrach żadnej wiadomości z kraju nie miałem, gdyż było bardzo trudno z listami z braku czasu i powiedzieli Rosjanie, że listy, które będziemy pisać zostaną odesłane

tylko do NKWD, dalej nie pójdą: „My jesteśmy w tych łagrach po pięć lat i już przeszło rok nie mamy żadnej wiadomości od rodziny”. Napisałem 8 miesięcy temu 15 listów i bez żadnej odpowiedzi.

15 września 1941 r. zostałem zwolniony z łagru, otrzymałem dokumenty i skierowano [mnie] do armii polskiej do Buzuługu [Buzułuku]. Zebrany transport wojskowych w Kotłasie (ok. 500) zamiast do Buzułuku cały nasz transport skierowali przez Taszkent do [nieczytelne], do stacji Farab, gdzie nasz cały transport został zatrzymany.

Po czterech dniach, gdy nam powiedzieli, że mamy jechać do pracy na kołchozy, wszyscy odmówili. Wysłaliśmy telegram do władz polskich, po paru dniach przyjechał przedstawiciel rządu polskiego i powiedział, że wyjeżdżamy na krótki czas i będziemy powołani do wojska. Załadowaliśmy się przy pomocy NKWD do barek i rzeką Amudarią wyjechalśmy w kierunku Republiki Karakałpackiej. Do Nukusu jechaliśmy 6 dni, podczas podróży karmiono nas rybą i 500 g chleba. Przez całą podróż żadnej gotowanej stawy nie otrzymaliśmy.

Z Nukusu wyjechalśmy furmankami ok. 75 km do miasta Czymbaja [Czymbaja], gdzie nas rozbili na kołchozy. Praca była możliwa, lecz wyżywienie trudne do wytrzymania. Otrzymywaliśmy kilogram dżugary i na tydzień kilogram konopi w ziarnach. Wynagrodzenia za cały czas pracy nie otrzymaliśmy żadnego.

Po trzech tygodniach wydano zarządzenie, że mamy jechać z powrotem do armii polskiej. Z Czymbaja do Nukusu musieliśmy maszerować piechotą. Jak kto mógł, jedni wyruszyli w nocy, drudzy w dzień. Podczas marszu mieliśmy opiekę ze strony NKWD, otrzymywaliśmy chleb. Gdy załadowaliśmy się w drodze powrotnej z Nukusu do Farabu, warunki były bardzo ciężkie: bardzo zimno, rzeka pokryta krą, wyżywieniem była ryba i 400 g chleba, w niektóre dni nawet po 300 g chleba. Rozpoczęła się dyzenteria. Bardzo dużo ludzi umarło, było kilka wypadków wypadnięcia z barki i utonięcia. Podróż wodą przedłużyła się przeszło dwa tygodnie. Cztery dni przed przyjazdem w drodze zabrakło chleba. W tym transporcie jechało ok. 3 tys. ludzi. W drugim dniu po głodzie, korzystając podczas jazdy przy brzegu ok. 75 ludzi wyskoczyło z barek i udało się piechotą, by dostać coś do jedzenia. Byłem tym szczęśliwcem w tej podróży, co wykorzystałem bardzo dobrze. Po przybyciu do miast rejonowych otrzymywaliśmy noclegi w szkołach oraz obiady z dwóch dań i kilogram chleba na człowieka. NKWD po noclegu natychmiast odsyłało nas dalej, tak że musieliśmy maszerować do Farabu

ok. 130 km. Na całej trasie byliśmy zaopatrzeni w żywność i nocleg. Spotkałem po drodze bardzo dużo towarzyszy, którzy tak jak my musieli opuścić barki.

Po naszym przybyciu do Farabu zebrali nas do wagonów i wywieźli do stacji Samarkanda. [Tam nas] wysadzili i wysłali do kołchozów, gdzie warunki pracy były możliwe do wytrzymania, lecz wyżywienie było trudne: bez chleba, dawali 400 g mąki z otrębami i dzielili to na 2 razy dziennie, by ugotować zupę.

2 lutego 1942 r. zachorowałem na tyfus plamisty i trafiłem do szpitala sowieckiego w Samarkandzie. Po dwóch miesiącach w szpitalu odjechałem do domu inwalidów, gdzie przebywałem do 17 lipca 1942 r. Następnie wyjechałem do Guzar [Guzor] i 22 lipca wstąpiłem do armii polskiej.

Miejsce postoju, 9 marca 1943 r.